

STRASZNE ŚMIESZNIĘ

Te dwie historie opowiedział mi Stan Hugill, zmarły w 1992 roku Ostatni Szantymen na świecie, niezwykle człowiek: marynarz, marynista, historyk, japonista i fantastyczny gawędziarz.

Marek Siurawski

Nawigujący nieboszczyk czyli nie strzelać przedwcześnie do trumny

Zdarzyło się to niedaleko Seattle i jest to opowieść w stu procentach prawdziwa.

W Stanach Zjednoczonych bardzo modne od paru lat stały się pogrzeby morskie: ceremonia polega na tym, że trumnę z nieboszczykiem wrzuca się do morza w 12-milowym pasie wód terytorialnych, jest obecna rodzina, odświętnie ubrana załoga, stosowna muzyka

i małe przyjęcie na pokładzie - całość organizacyjnie dosyć prosta.

Otóż kilka lat temu w jednej z amerykańskich rodzin o morskich tradycjach zmarł dziadek-marynarz, który zażyczył sobie takiego właśnie pochówku. Kuter wyszedł w morze, zagrano stosowny hymn funeralny, rodzinie zwilgotniały oczy i trumna z dziadkiem wpadła do morza. Niestety urzędnik, który wydawał zgodę na pogrzeb, nie powiedział, że trumna nie może być hermetycznie zamknięta, a była. Praw fizyki nie przeskoczysz, więc dziadek zaczął pływać przy burcie, zamiast iść, jak Neptun przykazał, na dno. Wyciągnięto więc nieboszczyka z powrotem na pokład, trumnę obciążono łańcuchem kotwicznym i kilkoma „prosiakami”, siła wyporu została pokonana i trumna znikła w głębinie oceanu.

Aliści kilka dni później rozszalał się sztorm, źle zamocowane łańcuchy zsunęły się z trumny, która niemal jak z procy wyskoczyła znowu na powierzchnię, w dodatku tuż przed dziobem kanonierki Coast Guardu, która akurat patrolowała ten obszar. Oficer wachtowy przecierając ze zdumienia oczy wezwał na mostek kapitana, który po krótkiej konsultacji uznał, że pływająca



Stan Hugill

trumna stanowi poważnie zagrożenie nawigacyjne, walnęli więc do niej seriami z dwudziestek piątek. W bryzgach pian i huku wystrzałów podziurawiona umrzyka skrzynia napełniła się wodą i dziadek po wtórnie poszedł na dno.

Ale *don't whistle, until you are out of the wood*. Okazało się, że jedna z kul musiała uszkodzić wieko trumny, które odskoczyło, i teraz sam nieboszczyk wyskoczył na powierzchnię. Co więcej, niezwykle układ prądów sprawił, że morze wyrzuciło dziadka na brzeg, i to kilkaset metrów od domu, w którym zszedł był z tego świata...

Myślicie, że to już koniec?

Policjant, który rutynowo obchodził ten odcinek plaży, znalazł postrzelane jak sito ciało i... zgłosił do koro-
nera mor-
derstwo!

nie mieli żadnego pojęcia ani o wojnie, ani o tak zwanej cywilizacji, która rozkwitała tuż pod ich bokiem. Żyli swoim życiem, ale niemal w całkowitej izolacji od reszty świata, i kulturowali własne tradycje, do których należał między innymi obyczaj, że nowo zbudowaną łódź naczelnicy czarownik wsi zezwalał wodować dopiero wtedy, kiedy w okolicy zmarł jakiś dorosły, aby dusza zmarłego weszła na statek i zapewniła mu pomyślność na morzu.

wali dużą, dwumasztową łódź, postawili ją na rusztowaniu na plaży, nazwali ją *BAHIA*, no i zaczęli czekać, aż ktoś w pobliżu sobie umrze. Minął tydzień, potem dwa i nic, żadnego świeżego nieboszczyka ani stosownej duszy. Zdesperowany czarownik nakazał więc tańce wokół łodzi i specjalne modły, kiedy nagle ktoś przybiegł z wiadomością, że niedaleko na plaży znaleziono jakąś dziwną, dużą i twardą kulę z jeszcze dziwniejszymi, wychodzącymi w górę niby-kolcami.

Wokół znaleziska zebrała się cała wieś i zaczęły się debaty, co też to może być. Zaciekawionych przychodziło coraz więcej, aż wreszcie czarownik, chcąc wyjaśnić rzecz do końca, wlaź na tę ogromniastą kulę i zaczął walić w nią siekierą. Znalezisko huknęło przerażająco, rozerwało na strzępy kilkudziesięciu ludzi, a siła wybuchu zdmuchnęła nową łódź na wodę.



Kiedy śledztwo wyjaśniło, co się stało naprawdę, rodzina zmarłego zaskarżyła Coast Guard o milion dolarów odszkodowania za sprofanowanie zwłok. Sprawa jest ciągle w sądzie, ale być może za pochopne otwarcie ognia przez „Strażników Wybrzeża” zapłacą wszyscy podatnicy amerykańscy...

Szkuner *BAHIA* czyli lepiej nie walić siekierą bez pojęcia

Ta historia natomiast zdarzyła się kilka lat po drugiej wojnie światowej, na jednej z wysp archipelagu Bahía, niedaleko wybrzeży Hondurasu. Skądinąd mieszkańcy owej wyspy

Pobrzmiwają tu odległym echem obyczaje Wikingów, którzy swoje „długie łodzie” zrzucali na wodę po grzbietach co bardziej dorodnych niewolników, aby uwolnione z miażdżonych ciał dusze silnych, odważnych mężczyzn dały siłę nowemu statkowi. Być może dlatego też jeszcze dzisiaj, w czasie ceremonii wodowania statku niechętnie widzi się dzieci, bo gdyby coś stało się małemu człowieczkowi, słaba, niedoświadczona duszyczka zamieszkałaby od razu na pokładzie, no a jakąż ochronę może dać dużemu statkowi słaba duszyczka maleńkiego dziecka?

Wracając do naszej historii: więc mieszkańcy nadbrzeżnej wsi na zlecenie najbogatszego kacyka zbudowali

I co powiecie? Podobno nie było na tych wodach tak szczęśliwego statku, jak *BAHIA*; nie tylko przyniósł fortunę całej wsi, ale przez wiele, wiele lat nie miał nawet najmniejszej awarii ani żadnej poważnej przygody na morzu. A kiedy właściciel postanowił go sprzedać, odpływająca przy pięknej pogodzie *BAHIA*. kilka mil od brzegu... poszła jak kamień na dno i leży tam do dziś.

Kto chce, niech się śmieje i wzrusza z powątpiewaniem ramionami, ale dla ludzi morza to nie przypadek ani zwykły zbieg okoliczności: po prostu dusze zmarłych tragicznie mieszkańców nie chciały opuścić rodzinnych stron...

Rys. Marek Siurawski